

PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 41 (210)

WARSZAWA

14 PAŹDZIERNIKA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

M. KOSZYC-SZOLAJSKA — PARANDOWSKI — MIERIEŻKOWSKI
ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA — ŚPIEW
JULIAN PRZYBOS — WIERSZE
LUDWIK FRYDE — NAUKA O WIERSZU CZY KIEPSKA KRYTYKA
JERZY PLEŚNIAROWICZ — BALLADA O UŁANACH

JAN EMIL SKIWSKI

RODACY OBMAWIAJĄ WISŁĘ

Koledzy odradzali mi tę wycieczkę. Nie warto. Statki chodzą nieregularnie, nie wiadomo nigdy, kiedy się stanie w Warszawie. A jednak pojechałem. I nie żałuję tego. Istotnie, kto szuka komfortu, milej, beztroskiej „przejażdżki z widokami”, wytwornej kuchni i wygodnej kajuty, ten niech ruszy Dunajem, Renem, czy Sekwaną — na Wisłę tego nie znajdzie. Prymitywność naszej żeglugi bierze w oczy. Jest w niej ta mizerność, ta niedokrwistość większości naszych poczynań, która z tak rażącym natręctwem stawia nam przed oczy wciąż jeszcze panującą prowizoryczność polskiego życia.

Siadałem na statek, mocno przygotowany w Sandomierzu przez wysoce fachowych wodnych inżynierów na temat regulacji Wisły. Odbyłem nawet wzorową przejażdżkę motorówką po Wisłę uregulowanej, czy pół-uregulowanej, i dalej za Zawichostem — po Wisłę „dzikiej”. Był to wypad — jak wszystkie przejażdżki pokazowe — niezmiernie przyjemny. Nie dlatego, by moi uprzejmi informatorzy pokazywali w różnym — więc fałszywym — świetle to, co budzić powinno troskę i zastanowienie — ale dlatego, że wszystko skapane było w pogodnej, piknikowej aurze: wygodna motorówka, sympatyczne towarzystwo inżynierów i kilku kolegów-literatów, niezwykła gościnność doktora Krawczyńskiego, który w pełni zasłużył sobie na tytuł nie tylko pośła, ale i gospodarza sandomierskiego. A przy tym pogoda! Wspaniałe, ciepłe, niedokuczliwe jesienne słońce, rozlewające błogosławieństwo światła po falach wiślanych, po skałach wapiennych, wąwozach, wiśliskach i dalekich rozległach.

Gościnność ludzka stwarza złudne perspektywy. — Teraz wszystko sprowadziło się do wymiarów codziennej, zwykłej rzeczywistości. Prymitywny, wolno wlokący się statek, z doczepionymi do dwóch jego boków wielkimi szkatułami pełnymi beczek, pak, koszów. Ludzie, których tu widzę, przypominają na wygląd tragarzy portowych, nie spozostregam ani jednego turysty. Pogoda też inna. Stalowe niebo zamalowane na jeden kolor, powietrze nie ma jeszcze ostrości jesiennej, ale otwierają się już leje chłodu, przyprowadzającego skórę o dreszcz. Drogę z Sandomierza do Warszawy znaczą nieliczne stacje. Niektóre piękne, jak Kazimierz. Tuż za przystankiem, jak gdyby wydelegowana na powitanie podróżnych, forpoczta starożytności w postaci domów, zamkniętych strzelistymi dachami ruin starego spichlerza i ulamanej baszty Kazimierzowskiego Zamku. Tu, na Kazimierzu, kończy się rapsof pierwszy. Nie oczekujemy już żadnych ruin, skazani tylko na obcowanie z wodą, z niesforną, krętą, zagadkową Wisłą.

Nastaje wieczór. Schodzę do wąskiej ka-

juty i oglądam przez niedomknięte małe okienko migoczącą wstęgę rudawej wody i pasemka dalekich białych piaseczków. Podrywający się co chwila motor ze zmiennym szczęściem wiedzie nas coraz dalej. Wreszcie stajemy na dobre. Właściwie spodziewaliśmy się tego wszyscy. Mówiono przecież

że głębokość Wisły w miejscu które przejeżdżamy wynosi sześćdziesiąt centymetrów. Trzeba na gwałt wymacać lepszą koniunkturę. Posuwając się tak w ustawicznej pogoni za nurtem, chwiejnym krokiem runby czy tanga, jakże mamy przybyć na czas do Warszawy? Przejażdżka Wisłą w dzi-

człowiek którego nic nie obchodzi takie sprawy, jak transport węgla, koszty przewozu i żelazna logika wiążąca wartości nawigacyjne rzeki z rozwojem gospodarczym kraju.

Na chwilę zaszedłem do kajuty. Widzę rozpedzone koło, które burzy wodę koloru podłej mlecznej kawy. W powietrzu jakby płynne mleko, w którym się posuwamy. Na pokładzie ziab. Ludzie drzemają skuleni, wciśnięci w kąty niewygodnych ławek, bądź szczerze zakutani w brudne kapoty, moszczą się na kufrach, pakach, worach i tobkach. Jeden tylko człowiek — poza dzielnym, bosmanem, czuwa w pełni trzeźwości. To młody Żyd w granatowej kurtee z włosami rozwianymi na cztery wiatry w jakiejś potężnej fantastycznej wiechcie, przypominające rozkuślane wnętrze materaca. Ten jest na posterunku. Ogrzyza zielone jabłko i komenderuje ludźmi stacjami po deście z pokładu na skutę paki, beczki i wielkie kosze ze sterzącą słomą, naladowane pomarańczami. „Wzorowy”, klasyczny obrazek. Znowu przyłapanie na gorącym uczynku sprawy, o której się mówi sto razy dziennie. Żyd, jako wiecznie czynny pośrednik — i indolencja „krajowców”. Tę ospałość, to jakieś smutne zacofanie widzę jak gdyby skoncentrowane w przedmiotach, pełnych głuchej rezygnacji. Oto na pokładzie stoją w sierocym jakimś opuszczeniu koszyki, pełne jabłek, obwarzanków i jakiegoś, pożałuj się Boże, pieczywa, pozawijanego w strzępy brudnej, ongi białej firanki. Taka to jest wymowa przedmiotów...

Na rozmowę z bosmanem zanosiło się już od początku. Ale jakoś nie mieliśmy czasu. Raczej on go nie miał, wciąż odrywany do służby. Teraz przysiadł się do mnie. Warunki rozmowy niezwykle sprzyjające. Mam przed sobą typ naprawdę pozytywny. Ani śladu frazesu państwowo-twórczego, przykładowego patriotyzmu, ani śladu sentymentalnego załgania — sama tylko bardzo mocna wola skierowana ku lepszemu jutru. Mój rozmówca pochodzi z wioski położonej nad Wisłą. Mówimy oczywiście o regulacji. Że jest konieczna, że dość się przejechać...

Podkuty przez fachowców z Sandomierza mówię tonem pewnym, że rząd o tym myśli, że łoży fundusze, że praca wre i Wisła niedługo będzie uregulowana. Ale może zapewnienia nie robią najmniejszego efektu.

— A za ileż to lat będzie uregulowana? Waham się z odpowiedzią. Jeden z wysoce kompetentnych optymistów zapewniał mnie, że za lat dziesięć. Inny również wysoce kompetentny pesymista przysięgał mi, że nie wcześniej jak za lat trzydzieści i to wtedy tylko, kiedy nurt pieniądza będzie płynął równo i z jednakową chęcią. Nie



WIŚLISKO

fol. R. Kosela

w Sandomierzu, że zawsze coś zajdzie, jakaś nieoczekiwana przeszkoda, która spowoduje opóźnienie. Ale czemuż to stoimy teraz koło Góry Kalwarii? Strząsam z siebie sennie i wspina się nie bez przymusu wewnętrznego po krętych schodkach — na pokład. — Konspiracja nocy roztoczyła już swoją władzę, przepoiła ludzi, powietrze, sprzęty tą jakąś tajemniczą aluzją, która pozostanie jej wiecznym sekretem. Nie trzeba się pytać, dlaczegośmy stanęli. Sytuacja jasna, a raczej mglista — właśnie dlatego... Nad pokładem wiszą białobure wiechcie zgęszczonej mgły, jak widma chorągwi, jakieś sunące się leniwie chocholowe strzępy. Suną wolno i giną bezszelestnie w z lekka już przejaśnionej nocy: pożegnanie duchów.

Ten sam człowiek z załogi — nie wiem jak go nazwać: bosmanem czy stewardem? i czy w ogóle Wisła znosi tego rodzaju tytułaturę? — prowadzi dalej, jak za dnia, swą mrówczą robotę, polegającą na badaniu głębokości dna. Czyni to, zanurzając olbrzymią tykę, zaopatrzoną w tęczową podziałkę, w brudną wodę Wisły. Co chwila słyszę padające słowa: osmdziesiąt... siedmdziesiąt... sześćdziesiąt... pięćdziesiąt... — albo dla krótkości: ośm, siedm, pięć, sześć. Na „sześć” statek się cofa. Znaczy to bowiem,

siejszych warunkach — to „podróż w niewiadome”. Wszystko co słyszałem w Sandomierzu o konieczności regulacji Wisły, wszystkie te wywody rzeczowe, rozumne i logiczne — nie przekonały mnie tak do wody, jak właśnie te chwile, kiedy w przeciągu doby bezwolnie uczestniczyłem w tym swoistym tańcu wiślanego statku.

Czy Wisła jest rzeką? — Pytanie tylko z pozoru dziwaczne. Kto choć raz zdecydował się na dłuższą podróż wzdłuż jej wód, zrozumie jego zasadność. Nie wiem, czy w przeciągu całej podróży były trzy miejsca, gdzie rysowałyby mi się jako wstęga, a więc w klasycznej postaci rzeki rzuconej jak wąż na równiny polskie. To, co widzimy, rzeką nie jest. Jest to coś pośredniego między jeziorem a rozlewiskiem. Coś na kształt fiordów czy nie kończącego się pojezierza. Przejeżdżamy z jeziora w jezioro, z zatoki w zatokę jakimiś tajemniczymi przesmykami, widocznymi dopiero z odległości kilku metrów. I wydaje mi się doprawdy, że najlepsza propaganda za regulacją Wisły to zwykła wycieczka po Wisłę statkiem Vistuli. Widok tej rzeki, po której statek musi pisać, nigdy nie pewien, czy trafił na nurt, a jeśli nawet trafił, czy ten nurt jest dość głęboki — przemówi do każdego. Narzuca się. Odczuje jego wymowę największy leń,

chcę się angażować ani po jednej ani po drugiej stronie. Bąkam z rezerwą:

— No, za jakie lat piętnaście.
Bosman krzywi się ironicznie. — Eh, proszę pana, za dziewięćdziesiąt dziewięć, to może tak! — W tej chwili budzi się we mnie podejrzenie. Czy nie przeceniłem mojego rozmówcy? Czy nie jest to jeden z tych urzędowych malkontentów, pesymistów, od których roi się Polska, którzy na wszystko mają gotową odpowiedź, zawsze pełną zgryźliwej niechęci? — A jednak nie.

Może się mylić w liczbach, w kalkulacji — ale bieg myśli jest zdrowy, logiczny. Dość posłuchać jak logicznie mówi o tym węglu, który będzie szedł Wisłą, już dobrze uregulowaną, ze Śląska do Gdańska. Świetnie to rozumie i można by go stawiać za wzór dobrej, trzeźwej, przejrzystej orientacji w tej ważnej sprawie. Och, gdyby wszyscy mieli tak mocno zakorzeniony „kompleks Wisły” i tak gorąco chcieli, aby rzuciła się równą wstęgą poprzez niziny polskie!

Mój rozmówca ma swój własny sąd. Należy do typu dość w Polsce rozpowszechnio-

nego, nosi w zanadrzu gotowy własny plan rozwiązania spraw ogólnopństwowych. Nie przeskadam mu — improwizuje dalej.

— Bo widzi pan, najlepszy rząd tego nie zrobi. Do uregulowania Wisły trzeba wprząc wieś. Ja sam jestem z tych stron, niedaleko Góry Kalwarii. Przed kilku laty nasi chłopcy zebraли koło dziesięciu tysięcy złotych i ofiarowali się z robotami regulacyjnymi. Targ w targ — i w końcu gmina odrzuciła.

A więc znowu: odwieczny żal do rządu, do gminy, do magistratu, że coś robi źle, że nie wyczuwa potrzeb środowiska, że rozstrzyga sprawy szablonem biurokratycznym. Takich skarg, takich utyskiwań słyszałem setki. Zawsze są idealnie logiczne — i zawsze sobie myślę, że druga strona za pytana, miałaby równie logiczną i równie nieodpartą replikę. Jakże trudno być sędzią. — A jednak i w tym wypadku stawiam na mojego bosmana. Podoba mi się jego logika i świta mi myśl, że ten tak często u nas spotykany *Polak z planikiem* to jednak nie jest warchoł ani krzykacz, ani malkontent. Że trzeba go wysłuchać, że go trzeba dopuścić do głosu i wynaleźć jakieś bardziej czule narzędzie odbiorcze, które

by tym prostym, jasnym głowom dało możliwość wypowiedzenia się, a nawet aktywne go wpływania na bieg wydarzeń. — Mój bosman ciągnie dalej.

— Tak, do regulowania Wisły trzeba wprząc wieś. Przecież chłop rozumnie, że jeżeli Wisła się zweży, jej koryto pogłębi, to nie tylko jest zysk gospodarzy na potanieniu przewozu, ale to jest zdobycie ogromnych obszarów rolniczych po obu stronach rzeki, jak duża. (Nawiasem mówiąc, ten sam argument przytaczał mi jeden z inżynierów wodnych). Wtedy ludziom nie trzeba będzie budować baraków, będą z własnych domów chodzili na robotę.

Rysuje mi się już obraz niesłychanie radosny, obraz jakiegoś głębokiego zgrania całej wiślanej masy chłopskiej, pracującej nad dziełem wielkim i pożytecznym w rytmie zgodnym i rażnym. W tej chwili do naszej rozmowy miesza się drugi głos, głos schłopiatego inteligenta, sceptyka.

— Nie ma tak dobrze. Przecież ustawa drogowa już tak silnie przeciąża wieś, tak niesłychanie wyczerpuje chłopa i konia — jakże tu jeszcze zwałić na jego barki regulację Wisły?

Powoli podpływamy do Warszawy. Widnieją już czarne szkielety mostów, obcięte, jakby chore wieże kościoła św. Floriana. Nie mogę prowadzić tej rozmowy dalej, nie mogę skonfrontować obu poglądów. Rozmawiam już tylko z sobą samym i powiadam sobie, że jednak ustawy nie są nieprzekraczalne i że nasza ustawa drogowa nie jest metafizycznym absolutem, którego nie można poruszyć z miejsca, że dla ludności pobrzeża można by ją zmodyfikować w ten sposób, aby siły tej ludności przerzucić ku naprawdę wielkiemu dziełu regulacji, które tak głęboko wrosło w świadomość okolicznego ludu. Tak głęboko i tak twardo, że naprawdę my, inteligenci miejscy, możemy się od nich wiele, wiele nauczyć. Jednego pragnę, aby ta rozmowa, która była czymś więcej niż wymianą zdań między dwójkiem ludzi, bo przez usta mojego bosmana przemawiała niejedna setka co najlepszych chłopów nadwiślańskich — doszła tam, gdzie sprawy się rozstrzygają; aby ten głos chłopca, który chce przyłożyć rękę do dzieła o doniosłości ogólnopństwowej, był posłyszany i zważony.

JAN EMIL SKIWSKI

JULIAN PRZYBOS

WIOSNA 1937

TRZY STRONY

*Wjazd uderzył w hałą dworca na alarm,
dzwon, który mnie przywiózł.*

*Od razu, w jednej chwili rozbitej jak atom,
w iskrzącej ekspresami sekundzie:
gotowa armia: cement w żelazo uzbrojony żywioł,
ludzie,
Paryż od razu pochwycony przez auta,
ludzie, ludzie,
fala:
wysokie wezbranie człowieka.*

*Wiosna wojny! Pęcznieje od ludzkiego nawalu,
dojrzewa ciężko w tunelach przywalona ziemia,
bekowisko materii — ryczy.
Chwila — pierwszy zielony pęk przepelni powietrze
sine, spalone prądem radioelektrycznym,
chwila —*

*Na urodzajnym bruku, który już się zaczerwienił,
w wigilię drugiego wystrzalu
czekam:
tłumię poemat.*

EIFFEL

*Wzniesie oczy:
samolot odrywa się od rzesz, ląduje jak lza jasno na widnokręsie.*

*Kurz ziemi poruszony przez tłok maszyn i rąk przyspieszonych tupot:
to rude niebo na świetlistych krawędziach kamienie
toczy się wzdłuż i w głąb.
Błysk niesie wieżę z żelaza i próżni, jak pokratowany bagnet
nad miasto.*

*Dotknij mocno godziny stojącej pod bronią.
Więcej obszaru ci nagne.
Wszystko spełni się samo
jak zachód i wschód.*

*O — lampy jak wielkie dmuchawce odłączyły się od słupów
światłem,
posąg wybiegł z trotuaru bez tchu.
Rozbłyskanym w ruchu przechodniom
szywy ubrań — patrz — neonami się zajmą,
przechodniom: ruchomym celom dla świecących kul
i bomb.*

*Z twojej otwartej dłoni —
z wyciągniętej ręki posągu palec wskazujący motocykl
wyjechał,
karabin maszynowy za ruchomą górą.
Okna wyzwolone niespodzianie
wzlatywały z murów,
kanonada kamieniami układała się po jezdni
i trójmotorowy bombowiec mię zaczął.*

*Mówię:
masyw gmachu rozprowadzony w głos wołający do broni,
wołam:
jedno skrzydło bulwaru rozwija się białe po nocy,
skinę:
przyplwy skłębionych pięt szybami się pieni,
bije o twój schron betonowy: o pomnik.*

Zegar dwanaście bijących baterij wytoczył.

Natchnienie jak jutrzejsze dziś bombardowanie.

*1. Mój cień podwójną aleją mijając mnie przemknął.
Idę,
czubem głowy odczuwam dotknięcie ruchliwej
liści, czystą lekkość,
nie tu gdzie jestem, lecz tam dokąd widzę.
Dno oddalenia wypełnia po zachodzie wichura,
czerwona róża wiatrów rozwinięta na lodydze:
czynny komin fabryczny wędruje daleko wraz ze mną.*

*Stamtąd samochody rozsnuwają bezustannie perspektywę, perspektywę,
która
rwie się nagle u kolan.*

Z mrowiska bezskrzydłych aut wyfrunie ich czysty pęd: aeroplan.

*2. Ruch mrowił się od aut, żelazo i mur melły na zakrętach szkło,
iskrzasta materia obryzgała mnie z bliska.
To tu.
Ostatni człowiek znikł pożarty przez tłum,
został tylko policjant jak świstak na kretowisku.*

Tknięty jego paleczką plac wytrysnął fontanną.

*M'sieur! Zasadź pestkę skaczącą w świstawce!
Tylko gwóźdź wykielkował na jezdni...
Dym, pęd z benzyny, nim rozwinął się, zwiądl
obluczony gradem kamienie.*

To tu złoty prąd pędzi noc triumfalną.

Patrzę, kiedy wiersz przemieni się w racę.

*3. Z nabitej sali, symfonią spadającej ku bramie jak pocisk,
szamocę się bulwarami oskrzydłony przez muzykę.*

Słyszę domy jak gruzy po bombardowaniu.

*Pod plotem z desek grajek, oślepiiony anioł,
roni
jedno skrzydło kapelusza
pióro po piórze,
pomalu...*

*piętra schodami rozciąga i kurczy na miechu harmonii.
Nike
w locie zwycięskim bije o bruk niewidomą głową,
różową próżnią,
światłem.
Świt wzrusza nad Sekwaną zatrzymaną akordami powódź.*

*Vincent van Gogh gałązką kwitnącego migdału
przywrócił mi wzrok nad światem.*

NA PLACU...

*Na placu, gdzie tyle oświetlonych fontann wytryska koło mnie,
aby powietrze uczynić widzialnym,
aby przypomnieć —*

setki mijanych twarzy zmaszały moją twarz.

Zostaję sam stokrotny i każdy.

*Wszystkie widziane noce tłoczą się naraz i noc przemienia się w gwiazdę.
Trwasz nad pobojo-wiskiem:
Na asfalcie, na czarnoziemiu Ukrainy, w zdobytym okopie
umiera jasny chłopiec, prawie dziecko, płacze.
Ucichł.*

*To ochotnik którego zabili,
ten sam któremu oczy zamykasz, zabiwszy, na wzgórzu baskijskim
i spod którego się dźwiga niestracony po salwie
wieczny robotnik rewolucji —
placzesz.*

*Wrogi bracie, mijający mnie w tej chwili
zawsze.*

JULIAN PRZYBOS

„WSPÓŁCZESNE” i STAROŚWIECKIE

TEATR KAMERALNY: *Współczesne*, sztuka w 3 aktach (6 odsłonach) Poli Gojawicyńskiej. Reżyseria: Karol Adwentowicz, dekoracje: Stanisław Cegielski.

Autorka, która powieściami uzyskała sławę i nawet nagrodę miejską, debiutuje w dramacie sztuką wulgą i pospolitą. Co to znaczy? Czy może Gojawicyńska jest już taką wielkością, że ona nadawała się do rewizji? Nie chce się puszczać na takie próby, i tak już nikt mnie nie kocha (w literaturze). Ale niedawno czytałem w *Gazecie Polskiej* recenzję tak zdolnego przeciwnika jak Kazimierz Wyka o ostatniej powieści Gojawicyńskiej (*Rajska jabłoń*); pisze on, że autorka ma: niepokój metafizyczny! (czy nawet: niepokój). Rozśmiałem się. Zabawne przesady. Ale użyty przez Wykę frazes jest charakterystyczny dla dzisiejszego pokolenia: bez takich wyrazów jak magia, klimat, płaszczyzna, oczywiście także dynamika (przez ze statyką), wielopłaszczyznowość, — odebrać, wysunąć spod takiego krytyka płaszczyznę, a zawali się.

Wszystkie recenzje, które czytałem o *Współczesnych*, zaczynały od tego 1) że to jest pierwsza próba, 2) że epika to co innego niż dramat, więc na razie teatr jeszcze nie leży w możliwościach Gojawicyńskiej. Otóż co do 1) tak, to jest debiut, ale debiut powinien być dobrze wyszukany, autor może zaryzykować, puścić się „na całego”, pozwolić sobie na to, na co nie zdobędzie się autor „rutynowany” (choć w tym rzemiośle nikt nigdy nie ma rutyny), to go nawet obowiązuje, jakiś krzyk, jakaś przesada. A *Współczesne* to szarżyna, programowa i nie-programowa. Co do 2) to przecież właśnie epiką bywa często teatralniejsza od dramatu (doświadczeniem Gorkiego i Czechowa), a metody Gojawicyńskiej, normalny styl, normalne obserwacje, normalny sposób myślenia nadawały się bardzo do sztuki również normalnych, a la Kiedrzyński. Nie pomyśli ona ani figury „nieprawdopodobnej”, ani nie opuści pewnego gruntu ziemskiego.

Ta jest z nią bieda, że natura obdarzyła ją pewnym liryzmem zamiast złośliwości satyryczną a la Zapolska. Swoją drogą autorka powinna się w Zapolskiej rozczytywać i przyswajać sobie jej wściekłe spojrzenie, jeżeli zechce dalej krytykować tych lotów męzczyzn, do czego w tej sztuce są pewne zapędy. Potrzeba jej „drapieżności”. To słowo jest też modne u dzisiejszych krytyków — a każdy literat jest również krytykiem — i nawet o Nalkowskiej ktoś napisał, że jest „drapieżna”. Bardzo się z tego uśmiełem. Co prawda „drapieżność” u kobiet przyspęch tak często przechodzi w jędzostwo, np... (Broń mnie Boże od wymieniania przykładów!).

Sztuka jest dobrze sklecona, ma swoją fabułę, nawet kilka fabuł, ale gdy się o niej myśli po kilku dniach, nie znajduje się w sobie żadnego silniejszego wrażenia, choćby ciekawsza sytuacja, niech by nawet nie wyzyskana, choćby jakiś przelotny *coup* dramatyczny, albo jakieś lepsze powiedzenie. Myśli się o autorce samej więcej niż o sztuce. Może to tylko krytyk taki niedołąga. Ale dotychczas nawet z gorszych sztuk zawsze mi się coś zostawało żywego, pozaliterackiego. Tu chyba to jedno: jest u Gojawicyńskiej, to i w powieściach zauważyłem, jakiś zmysł gospodarski, zmysł solidności drobniomieszczanek, toteż najsilniej jeszcze wychodzi — nie sama bohaterka, Janina — lecz jej siostra Maria, która zostawszy, z rozmysłem, kochanką swego szefa reagenta, będzie oszczędzać, włoży pieniądze w przedsiębiorstwo krawieckie, ratując przy tym z opalów porzucaną przez męża krawczynię. Grono solidnych wieści powiekszy niby w mała Krysią, córką krawczyni, dotychczas lubuz, ale od katastrofy z ojcem przemienioną, dobrych postanowień pełną. Nawet Janina, choć wdępnęła w „nie dobrą miłość”, chce się jakoś wygramolić; mając do wyboru zostać u dawnego kochanego kochanka a nowego zaniedbać, przewyciężyła się, śpieszy tam, gdzie jest serce — u tego dotąd zaniedbanego — i pewny a ciepły kącik. Sztuka prawie pedagogiczna.

Tę Janinę p. Boy-Zeleński w swojej recenzji w *Kurjerze Porannym* psychologizował: że to jest partaczka miłości, charakter, który nie ma taktu życiowego, czy intuicji, wybiera sobie niewłaściwego męzczyznę, pomija tego, który ją prawdziwie kochał, a później od razu mu się przyznaje, że nie jest już panną (niegdyś takie przyznawania się uchodziły za bohaterstwo). Czy Gojawicyńska tak to sobie myślała, bardzo wątpię, — ze sztuki można sobie i tę koncepcję wykombinować, ale jeżeli ten był jej zamiar, to został źle wykonany, nie podkreślony, szczegóły charakterystyczne co do Janiny nie weszły w



„WSPÓŁCZESNE” (AKT I)
Pp. Grywińska i Strachocki

takie stadium, żeby podniecały do takich podejrzeń, a także reszta sztuki nie jest w tym duchu. Zdaje mi się, że nawet przeciwnie: Janina jest przede wszystkim kobietą oszukaną, skrzywdzoną, a prócz tego jest reżonerką sztuki, zastępczynią autorki, mówi wyższym językiem, ale dość banalne refleksje, — które właściwie wypadają ze stylu. Bo ci ludzie wari by byli o tyle, o ile są drobnoustrojami, na tym powinien spocząć akcent. Tymczasem Gojawicyńska przedstawia ich życie bez wyższości własnej i bez siły. A można przecież przedstawić ludzi głupich — mądrze, słabych — mocno. Szczegóły realistyczne powinny być wtedy nie byle jakie, lecz wyrafinowane. We *Współczesnych* jest nawet duże nagromadzenie szczegółów realistycznych ale zdawkowych: oczko w pończosze puściło, służąca ma wychodne, wciąż telefon, patefon, herbata, papierosy (ptaszki trzeba wyrzucić!) — to mają być akcesoria współczesności? Nie, tej współczesności jest stanowczo za mało. Ze dziś panny łatwiej się puszcza i łatwiej się ratują, to jeszcze nie współczesność.

Zdaje się, że autorka napisała sobie tę sztukę tak na marginesie powieści, bo jej radzili spróbować. Nie była to pasja, lecz fałszywy apetyt — może tylko na razie. Apetyt może przysięść, ale krytyk niekoniecznie musi zachęcać, hołubić, chuchać, z muchy motyla-admirała robić. Ze to może był margines, świadczy Rogowski, w pierwszym akcie jakiś filozof, mówi głębsze rzeczy o architekturze osiedli, a potem ułatwicz życia, utrącający z góry jego niebezpieczeństwa, bo targuje się z Janiną jeszcze „przed”: proszę, tylko później bez żadnych awantur! Lepiej by było, żeby autorka skoncentrowała akcję koło tych dwóch figur, trochę wniknęła w sytuację także męzczyzny, rozwinęła obustronną dialektykę, spotęgowała konflikt, — który się u niej rozlał. Materiał u niej jest, ale w dramacie nawet szarość powinna być jaskrawa. I tu zupełnie nie zgadzam się z p. Piaseckim (*Prosto z Mostu*), jakoby w tym dramacie były jaskrawizny: bo choć jest prostytutka i gwizd policjanta i miłosna drastyka prawie że na scenie, to wszystko dziś, po kilkuletniej epoce pełnej krzyków o krzywdę społeczną (*Cyankali*, *Dziewczęta w mundurkach*, *Bunt w zakładzie poprawcy, Daubmann, Hinemann, Złoczyca* i t. p. — jest to t. zw. literatura oskarżająca), nie robi już wrażenia, choćby się jeszcze niektóre paniusi gorszy-

ły, a podobno się gorszą. Nie o tę jaskrawość mi chodzi, lecz o to, żeby szarość naprawdę grała, dochodziła do głosu; więc musi od czegoś odbijać, wyrażać jakiś zawód. Dawniej, w pierwszej epoce realizmu na scenie, lepiej to robiono, że przypomnę starym bywalcom *Popychadło* Szukiewiczza, Kaweckiego *Dramat Kaliny*.

Wystawieniu i grze nie mam nic do zarzucenia; może niekiedy mówi się zbyt jęcząco i ze żnueniem.

KAROL IRZYKOWSKI

TEATR LETNI: *Przyjaciele* — komedia w czterech aktach Aleksandra Fredry. Reżyseria Teofila Trzczińskiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Przyjaciele nie mieli takiego szczęścia do sceny, jak inne komedie Fredry. Jedną to z najrzedziej grywanych jego sztuk. Pewna szablonowość drugoplanowych figur o hok sentymentalnej „gry w chowanego” dwójga romantycznych kochanków, wśród której raz po raz pobrzmiwają akcenty poważnego konfliktu dramatycznego, przemieszanie komizmu z najczystszy liryzmem i w związku z tym niejednołitość nastroju — kryją w sobie sporo niebezpieczeństw dla scenicznej realizacji. Toteż z uznaniem należy podkreślić fakt, że dyr. Trzcziński nie bez pewnego ryzyka sięgnął po tę niesuszone zapomnianą sztukę. Premiera w Teatrze Letnim przekonała nas o jej niemałej wartości scenicznej. W miarę zawiązywania się intrygi komediowej i narastania powikłań, które raz po raz wybuchają w świetnych epizodach, publiczność bawi się coraz lepiej. Bładowość dwóch pierwszych aktów okupuje pomysłowość w wianuzi sytuacji i żywe tempo akcji pod koniec sztuki, tak że opuszczamy teatr rozmakowani prawdziwie w pomyslowych gierkach tego szacownego antenata i przedniego trefnisia zarazem, ukolysani muzyczną potocznością jego wiersza.

Wątek fabularny tej komedii — co nieźmiernie rzadkie u Fredry — skomplikowany jest prawdziwie dramatycznym zawikłaniem. Na tle zalotów całego szeregu konkurentów do bogatej i młodej wdówki, ukazanych w jaskrawym świetle karykatury, rozgrywa się wcale nie komediowy konflikt dwójga bohaterów: Zofii i Zdzisława, towarzysza jej lat dziecinnych, który będąc niezamożnym szlachcicem nie śmie nawet marzyć o zdobyciu jej ręki. Refleks to podobno wieloletniej mi-

łości poety do późniejszej jego żony, Zofii Skarbkowej. Tym by też można tłumaczyć szczególne przywiązanie autora do tej komedii i nieskazitelność dyskretnego liryzmu w niektórych jej partiach, pełnych prawdziwie poetyckiego czaru. Ale nawet w tym utworze nie przekroczył Fredro ram swojej zwykłej powściągliwości uczuciowej. Miłość wyraża się tu jakby przypadkowo, na marginesie rozwijania sytuacji. Wplecione w perypetie miłosne żywe epizody z postaciami innych konkurentów Zofii, a przede wszystkim natrętna miłość podstarzałej panny Bobinę do Zdzisława, stanowi komiczne intermezzo, które przez kontrast jeszcze silniej wypukla prawdziwą poezję uczucia, ukrytą pod konwencjonalnymi formami.

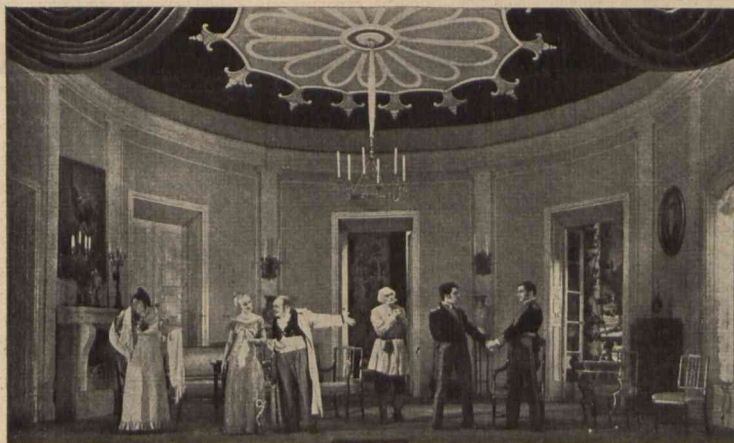
Pogodny nastrój tej komedii stanowi jej wdzięk nie przemijający. Panny Bobinę naszych czasów zmieniły nie tylko krój sukien ale i sposoby uwodzenia nieśmiałych młodzieńców, którzy tymczasem także wyrosli i sami potrafią zdobywać serca swych wybrank. Zaostrzyły się kontury ich postaci, mowa ich stała się prostsza. A przecież mimo zanikania tytułów i wąsów, publiczność do dziś bawi się doskonale na scenach tego pomyslowego alchemika, który u miał jak nikt gorzkie prawdy spletać ze śmiechem, tragiczne węzły życia przemieniać w błahę na pozór frazki.

Realizacja sceniczna uczyniła z *Przyjaciół* wesołą krotkowiec. Perypetie miłosne dwójga kochanków rozgrywają się na samej krawędzi dramatyizmu, przechylając się raz po raz w stronę parodii romantycznego gestu, co stanowi specjalną trudność dla reżysera. Parodia Fredry wydaje nam się dziś zbyt dyskretna, dlatego też musimy ją podkreślać nowymi pomysłami reżyserkimi. W inscenizacji dyr. Trzczińskiego widać było pewne niezdecydowanie. Stumił poważne akcenty sztuki, zbliżając je nastrojom do groteskowego charakteru sytuacji drugoplanowych, z drugiej strony — te właśnie drugoplanowe sytuacje opracował szczegółowo, przydając im sporo komediowej przypraw. Rozbiło to jeszcze i tak nie bardzo zwartą kompozycję *Przyjaciół*. Komizm powikłań miłości Zdzisława i Zofii wypadł bładowo na tle doskonałych epizodów. Należałoby raczej podkreślić poważne momenty tego uczucia i skonstruować je silnie z wesołymi zalotami innych konkurentów.

Zaciężyła może nad tym aktorska interpretacja figur komediowych: właśnie drugoplanowe role wypadły lepiej i żywiej. Rola p. Zaklickiej stanowiła dobrą przeciwwagę dla niemieckiej postawy Zdzisława. P. Maria Gella stworzyła ze swej roli istne arcydzieło. Krygowanie się podstarzałej panny, jej sentymentalne westchnienia, miały rysunek doskonałej groteski. Akcent cudzoziemski brzmiał w jej ustach zupełnie naturalnie. Parę przyjaciół-rywali stanowili pp. Milecki i Jaroń, który postaci szlachetnego młodzieńca nadał ujmujące rysy. Tylko przekreślona jego dykcja zbyt zbijała potoczność wiersza. Pp. Fertner w roli Smakosza i Grabowski, jako baron Antenacki, wyśmienicie bawili publiczność. Wtorkiewicz w interpretacji p. Karczewskiego wypadł trochę za sucho. Miłą postać starego klucznika stworzył p. Kazimierz Gella.

Dekoracje Jarockiego, przejawiskrawione kolorystycznie, nie wypadły najlepiej. Z ich tłem często zlewały się twarze i stroje aktorów.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI



„PRZYJACIELE” (AKT IV)

Doświadczona firma

zawsze uwzględniają w swych budżetach ogłoszeniowych dziennik

„Express Lubelski i Wołyński”

XV rok wydawnictwa
Najwyższy nakład na terenie
Województw Lubelskiego i Wołyńskiego

Blisze informacje, egzemplarze okazowe,
kosztorysy ogłoszeń — na każde żądanie.

LUBLIN, Kościuszki 8, tel. 23-60.

